Filozofia Nauki
Rok X, 2002, Nr 2(38)

POLEMIKI

Jan Woleński

Lech Witkowski jako rzecznik interesu publicznego filozofii polskiej (i w innych rolach też)

Tekst niniejszy jest odpowiedzią na artykuł Lecha Witkowskiego „O możliwości sensownego sporu filozoficznego w Polsce (w trybie odpowiedzi Janowi Woleńskiemu", *Ruch Filozoficzny* LVII (2000), ss. 107—115 (dalej LW2) i pozostaje w związku z: L. Witkowski, „Henryk Elzenberg wobec scjentyzmu w filozofii polskiej (na motywach dylematu: jak filozofować w Polsce?", w: *Henryk Elzenberg (1887—1967). Dziedzictwo idei*, pod red. W. Tyburskiego, Wydawnictwo Uniwersytetu Toruńskiego, Toruń 1999, ss. 109—121 (dalej LW1) oraz: J. Woleński, „Jak filozofować w Polsce? (odpowiedź Lechowi Witkowskiemu)", *Ruch Filozoficzny* LVII (2000), ss. 87—105 (dalej JW1).

Lech Witkowski oświadcza (LW2, s. 107), co następuje: „Interesuje mnie [...] tylko [...] przyzwoitość akademicka i dojrzałość humanistyczna, troska o bogactwo życiodajnych odniesień w kulturze. Reszta (łącznie z retorycznymi sztuczkami niektórych logików) to otoczka walki o pozycję i dominację, walki lepszej, gorszej. Ale zawsze obecnej i w nauce i w filozofii." Traktuję to jako autonominację Lecha Witkowskiego na stanowisko rzecznika interesu publicznego w filozofii polskiej, bo przecież interes takowy polega m.in. na przestrzeganiu reguł przyzwoitości akademickiej oraz trosce o dojrzałość humanistyczną i życiodajne soki w kulturze. Przyjęcie na siebie takowej roli nie jest niczym nagannym. W końcu każdy z nas, tj. uczestników życia akademickiego, jest zobowiązany do troski o interes publiczny związany z własną profesją, a jeśli ktoś, w tym wypadku LW, decyduje się na wyjątkowo aktywną rolę w tym względzie, to należy mu się uznanie, przynajmniej *a priori*. Rzecznik interesu publicznego w danej dziedzinie, jak to rzecznik w każdej innej sprawie (np. u nas tzw. prokurator lustracyjny) ma za zadanie ochraniać interes publiczny

przed tymi, którzy weń godzą. Winien więc jasno określić kogo ściga. Lech Witkowski kilkanaście linijek dalej (LW2, s. 108) powiadamia, że nie można „odpuszczać" logikom i innym podobnym osobnikom w celu zapewnienia stosownego „klimatu w jakim uprawia się filozofię i w niej kształci". Nasz rzecznik, podobnie jak wspomniany już wcześniej inny rzecznik, też działa jak prokurator, tj. demaskuje, lustruje, tropi nadużycia, a w szczególności oskarża. W samej rzeczy, Lech Witkowski (LW2, s. 110) pisze:

„[...] na serio oskarżam Jana Woleńskiego o skandaliczne i wierutne kłamstwo, gdy przypisuje mi domaganie się odrzucenia (!) tradycji analitycznej („wolno Witkowskiemu nawoływać do odrzucenia tradycji analitycznej, wolno i mnie proponować, by ją kontynuowano")."

Jest to poważne oskarżenie. Gdy promowano mnie na doktora, ślubowałem, że będę głosił prawdę. Lech Witkowski zarzuca mi więc sprzeniewierzenie się jednej z podstawowych powinności akademickich, a gdyby mnie poproszono, np. rok temu, o potwierdzenie przysięgi doktorskiej, to, w świetle cytowanego fragmentu, mógłbym zostać wręcz posądzony o rodzaj kłamstwa lustracyjnego. W tej sytuacji czuję się uprawniony do obrony moich dóbr osobistych. Przy okazji zajmę się innym staraniami Lecha Witkowskiego w jego trudzie rzecznikowania interesowi publicznemu w filozofii polskiej.

Zgodnie z zasadami procedury karnej nie ciąży na mnie obowiązek dowodzenia, że jestem niewinny. Postaram się to jednak uczynić z uwagi na to, że rzecznicy interesu publicznego często odrzucają zasadę domniemania niewinności. Lech Witkowski tak uzasadnia swoje oskarżenie (s. 110): „Otóż ja nie mógłbym nawoływać do jej porzucenia czy odrzucenia już choćby dlatego, że nie uważam jej za nic specjalnie istotnego i ważnego dla poważnego uprawiania filozofii, a nawet — jak pokażę — uznaję ją za iluzoryczną wartość, która wkracza w fazę schyłkową, bo sami jej pyszni zwolennicy nie umieją jej dochować wierności poza krzykliwymi deklaracjami — i to na przykładzie choćby tekstów samego Jana Woleńskiego widać do woli."

Kłamstwem jest, wedle potocznego rozumienia sprawy, świadome i celowe głoszenie zdania fałszywego. *A* jest kłamstwem osoby *X*, gdy (a) *A* jest fałszywe; (b) *X* głosi *A* świadomie; (c) *X* głosi *A* celowo. W gruncie rzeczy, LW zarzuca mi jakieś kłamstwo kwalifikowane, bo skandaliczne i wierutne, a także jakoś dodatkowo olbrzymie (wykrzyknik w pewnym miejscu) ale tym (poza incydentalnymi uwagami) nie będę się zajmował. Przechodzę zatem do zbadania, czy skłamałem w sensie najzupełniej zwyczajnym, tj. kształtowanym przez warunki (a)—(c). Roszczę sobie przy tym prawo do wyboru metody, niezależnie od upodobań LW w tej mierze. Będę więc postępował analitycznie, krok po kroku i nawet łapał za słówka. Natomiast na pewno nie pozwolę sobie na poufałości, którymi Lech Witkowski raczy mnie obficie. Nie czynię tego z obawy przez surowym prokuratorskim obliczem LW ani też dla zmiany sposobu wzajemnego odnoszenia się, wszak jesteśmy kolegami od lat, niegdyś nawet wcale dobrymi. Wszelako protekcjonalne klepanie mnie po ramieniu w stylu „mój drogi Jan" w tekście, który oskarża mnie o wierutne i skandaliczne kłamstwo, a także

szereg innych niecności, uważam za przejaw złego gustu ze strony LW. W końcu, mówiąc dosadnie, nie pasaliśmy i nie pasiemy razem krów na tym samym filozoficznym pastwisku. Ale do rzeczy.

Muszę na samym początku zauważyć, że nie jest całkowicie jasne, jakie zdanie ma wyrażać moje kłamstwo. Lech Witkowski cytuje następujące (oznaczam je przez (Z)) „wolno Witkowskiemu nawoływać do odrzucenia tradycji analitycznej, wolno i mnie proponować, by ją kontynuowano." Gdyby ta wypowiedź miała wyrażać kłamstwo, to znaczy, że zdaniem LW jest ona fałszywa. Prawdziwe zatem byłoby takie stwierdzenie (Z1) „nie jest prawdą, że wolno Witkowskiemu nawoływać do odrzucenia tradycji analitycznej, wolno i mnie proponować, by ją kontynuowano.", tj., że nawoływanie przez Lecha Witkowskiego do odrzucenia tradycji analitycznej, a także proponowanie przeze mnie jej kontynuowania są działaniami zakazanymi. Nie sądzę, że Lech Witkowski chciał mi przypisać tak absurdalny pogląd. Z uzasadnienia, które LW podał w sprawie mojego kłamstwa wynika, że miało ono polegać na wygłoszeniu poglądu (Z2) „Lech Witkowski nawołuje do odrzucenia tradycji analitycznej". Mógłbym rzecz załatwić uwagą, że (Z2) nie wynika logicznie ze zdania (Z), tj. ze zdania „wolno Witkowskiemu nawoływać do odrzucenia tradycji analitycznej" (opuszczam dalszą część, gdyż LW zapewne nie zarzuca mi, że skłamałem o sobie.) Taka obrona nie byłaby całkowicie bezpodstawna. (Z) jest zdaniem deontycznym. Zgodnie z logiką modalności deontycznych „wolno, że *A*" znaczy tyle, co „ *A* jest nakazane lub *A* jest indyferentne, tj. ani nakazane ani zakazane". Ponieważ nawoływanie do odrzucenia tradycji analitycznej nie jest ani nakazane ani zakazane (z jakiegokolwiek punktu widzenia), to wypowiadając (Z) miałem na myśli (Z3) „wolno Witkowskiemu nawoływać do odrzucenia tradycji analitycznej i wolno mu tego nie czynić". Jego sprawa. Pozostaje rzecz jasna argumentacja i ocena tradycji analitycznej, ale to już inny problem. W każdym razie, (Z3) jest najzupełniej zgodne z tym, że Lech Witkowski nie nawołuje do odrzucenia tradycji analitycznej, a więc z fałszywością zdania (Z2), aczkolwiek także i z tym, że jest ono prawdziwe.

Wszelako nie chcę bronić się szczegółami logicznymi („bawić się w ciuciubabkę" (LW2, s. 111, jakby to zapewne skomentował LW z właściwą sobie swadą). Wygłaszając (Z) rzeczywiście zakładałem prawdziwość (Z2). LW uważa, iż jest to fałsz, a więc tym samym uznaje, że (Z4) „Lech Witkowski nie nawołuje do odrzucenia tradycji analitycznej" jest prawdą. Trzeba zatem zbadać, czy miałem podstawy dla stwierdzenia (Z2). Czytając i słysząc enuncjacje LW na temat szkoły lwowsko-warszawskiej zinterpretowałem je jako nawoływanie do odrzucenia tradycji analitycznej. Miałem jak sądzę powody ku temu, a nawet mam je dalej. Wydaje mi się bowiem rzeczą naturalną, że kto uważa tradycję analityczną za nic istotnego dla poważnie uprawianej filozofii, szafuje wobec niej i jej przedstawicieli rozmaitymi dyskredytującymi epitetami, a nadto ogłasza ją za wartość iluzoryczną, wieszczy jej bliski a niesławny koniec, to jest skłonny odrzucić ten typ filozofowania. Jest to generalizacja empiryczna, oparta na spostrzeżeniu, że jeśli *X* uważa *W* za wartość iluzoryczną, to zaleca jej odrzucenie. Przypominam też, iż LW nawoływał w swoim wcześniej-

szym tekście do położenia tamy i skończenia z rozmaitymi zjawiskami, które ilustrował praktykami filozofów analitycznych, niewątpliwie zagrażającemu, w jego przekonaniu, interesowi publicznemu. Sam słyszałem w Toruniu od niego (w 1998 r. w obecności dwóch filozofów z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika), co następuje: „Już niedługo skończymy z wami." Myślę, że to wszystko uprawniało mnie do mniemania, że LW nawołuje do odrzucenia tradycji analitycznej.

Zajmę się uzasadnieniem podanym przez Lecha Witkowskiego na rzecz (Z4) tj. negacji (Z2). Znajdujemy je w następujących słowach pochodzących z zacytowanego aktu oskarżenia: „nie mógłbym nawoływać do jej porzucenia czy odrzucenia już choćby dlatego, że nie uważam jej za nic specjalnie istotnego i ważnego dla poważnego uprawiania filozofii". LW wypowiedział tutaj zdanie o samym sobie, dokładniej o swych możliwościach intelektualnych. Uznał mianowicie, że skoro nie uważa tradycji analitycznej za coś specjalnie istotnego itd., to nie mógłby nawoływać do jej odrzucenia. Poprawne logicznie jest przejście od zdania „nie mogę nawoływać do odrzucenia tradycji analitycznej" do zdania „nie czynię tego". LW powiada nam jednak zupełnie coś innego, mianowicie proponuje inferencję od zdania (Z5) „uznaję tradycję analityczną za nic istotnego, itd." do zdania (Z6) „nie mógłbym nawoływać do odrzucenia tradycji analitycznej." Całkowicie koherentne jest jednak i takie stanowisko, że ktoś uważa jakąś tradycję za nic specjalnie istotnego itd., ale przy tym mógłby nawoływać do jej odrzucenia. A skoro tak to zdania (Z5) i (Z6) są logicznie niezależne, co znaczy m. i., że pierwsze nie wystarcza dla uzasadnienia prawdziwości drugiego, a co za tym wykazania, że (Z2) jest fałszem.

Nie przeczę, że w umyśle Lecha Witkowskiego (Z5) stanowi uzasadnienie dla (Z6), a przeto dla (Z4). To jednak przesądza tylko tyle: LW uznaje za subiektywnie uzasadnione swoje mniemanie, że nie nawołuje do odrzucenia tradycji analitycznej, a ma ku temu powód w swej ocenie tejże tradycji. Jest to jednak jego prawda, która mogła być niedostępna innym zanim raczył ją światu objawić, nie mówiąc już o tym, że mogła ona pojawić się w umyśle Lecha Witkowskiego po przeczytaniu artykułu JW1. Wprawdzie już od dłuższego czasu wiedziałem o stosunku LW do filozofii analitycznej i logiki, ale nie sądziłem, że ten były algebraik abstrakcyjny posiada w swym wyposażeniu myślowym taki formalizm logiczny, który go prowadzi od zdania „uważam tradycję analityczną za nic ważnego" do zdania „nie mógłbym nawoływać do odrzucenia tejże tradycji" i wyklucza zdanie (Z2). Widać nie doceniłem siły argumentacyjnej LW (dalej podam jej dodatkowe egzemplifikacje).

Jak już wspomniałem wyżej moje racje dla (Z2) odwołują się do pewnej generalizacji empirycznej. Ponieważ konstatacje empiryczne są zawodne, to mogłem pobłądzić w sprawie intencji LW i miał prawo mi to wytknąć, jeśli uważał sprawę za rzecz godną wyjaśnienia. W istocie rzeczy niewiele to zmienia. Teraz powiem tak „wolno LW uważać tradycję analityczną za nic ważnego, wolno i mnie proponować, by ją traktować inaczej." Mam nadzieję, że w tym przypadku na pewno nie skłamałem, albowiem opieram się na wyraźnych stwierdzeniach samego Lecha Witkowskiego. Skoro nie znałem rzeczywistego stanu umysłu LW i nie miałem odpowiedniej wiedzy

o siatce przekonań żywionych przez niego, to nawet jeśli (Z) jest fałszem, to nie jest spełniony warunek (b), gdyż wskazane okoliczności usprawiedliwiają mnie w następującym sensie: chociaż wypowiedziałem fałsz o LW, to jednak nie uczyniłem tego świadomie w tej mierze, że był to fałsz (warunku (c) nie trzeba już w tej sytuacji rozważać, aczkolwiek przypuszczam, że prokurator Lech Witkowski wytropi jakiś niecny zamiar z mojej strony także w tym względzie.) Stanowczo więc odrzucam oskarżenie sformułowane przez LW i wyżej przytoczone oraz traktuję je jako obrazę elementarnych norm obyczajowych, w szczególności zasad kształtujących rzetelność polemik akademickich. Z ostrożności procesowej muszę dodać, co następuje. Nie mogę wykluczyć, że Lech Witkowski oskarża mnie o jakiś inny rodzaj kłamstwa, niż potoczne. Może nazwa „wierutne i skandaliczne kłamstwo" oznacza coś zgoła innego niż świadome i celowe głoszenie fałszu, ale np. jakiekolwiek zdanie, które nie jest po myśli LW. Kto wie? Na wszelki wypadek proszę o traktowanie ewentualnych wątpliwości na korzyść oskarżonego jako okoliczności łagodzących. Przechodząc do innych działań lustracyjno-demaskatorskich Lecha Witkowskiego znowu zastrzegam sobie prawo wyboru metody.

Zaczynam od uwag LW na temat mojej polemiki z Hilarym Putnamem. Muszę tutaj przywołać kilka faktów, bo rzecz nie jest szerzej znana. Od lat zajmuję się rozmaitymi problemami związanymi z semantyczną teorią prawdy, w szczególności argumentami formułowanymi przeciw niej. We wrześniu 1998 r. prof. Urszula Żegleń zorganizowała w Toruniu konferencję poświęconą filozofii Putnama z jego udziałem. Wzięło w niej udział kilkanaście osób z kilku krajów świata. Zostałem zaproszony do udziału w tej imprezie i zgłosiłem referat na temat argumentów Putnama przeciw semantycznej teorii prawdy. Miałem okazję dyskutowania z nim tych spraw wcześniej, mianowicie w czasie swego pobytu w Bostonie w 1994 r. Zreferowałem mu swoje zastrzeżenia wobec jego krytyki, przedstawione w mojej książce *Metamatematyka a epistemologia* (1993). Putnam zauważył, że moje obiekcje są zbyt słabe wobec argumentów powołanych przez niego. „Mam matematyczny argument przeciw Tarskiemu" — oświadczył. Istotnie, sprawa okazała się znacznie poważniejsza niż dawniej przypuszczałem. Ów matematyczny argument ma wskazywać na kolistość definicji Tarskiego, a więc defekt fundamentalny. Rozumowanie Putnama jest następujące. Nie możemy wykluczyć, że metateoria, w której formułujemy semantyczną teorię prawdy jest omega-sprzeczna. Wówczas konwencja (T) formułująca warunek materialnej trafności definicji prawdy jest zagrożona. Sytuację możemy uratować, zdaniem Putnama, tylko wtedy, gdy założymy, że metateoria jest adekwatna, tj. że każde jej twierdzenie jest prawdziwe. To jednak odwołuje się do pojęcia prawdy, które właśnie definiujemy. I błędne koło gotowe. Problem polega na odpowiedzi na następujące pytanie: czy można założyć jakąś syntaktyczną własność metateorii, by oddalić zarzut Putnama? I temu właśnie był poświęcony mój referat. Uznałem, że z uwagi na strukturę T-równoważności wystarcza założenie, że metateoria jest omega-niesprzeczna, a ewentualnie można wprowadzić jeszcze mocniejsze założenie, mianowicie omega-zupełności. Szczegóły, a także krytykę innych argumentów Putnama prze-

ciw Tarskiemu można znaleźć w moim artykule stanowiącym sprawozdanie z konferencji w Toruniu (J. Woleński, „Putnam contra Tarski", w: *Pragmatyzm i filozofia Hilarego Putnama*, pod red. U. Żegleń, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 2001, ss. 173—194; wersja angielska mojego artykułu ukazała się w czasopiśmie *Synthese* 126 (2001), ss. 67—90). Prof. John Skorupski, który przewodniczył sesji z moim referatem uznał, że wymiana zdań pomiędzy Putnamem a mną jest na tyle ważna i interesująca, że zdecydował o ograniczeniu dyskusji tylko do naszych wystąpień. Nie jest moją rzeczą oceniać wyniku całej tej polemiki. Mogę tylko powiedzieć, że dyskusjach kuluarowych przyznano mi rację. Zdając sobie sprawę z rangi Putnama jako filozofa i chcąc przetestować moją argumentację, powtarzałem ten referat jeszcze wiele razy w rozmaitych środowiskach: w swoim zakładzie, w Helsinkach, Uppsali, Lundzie i na międzynarodowej konferencji w Karpaczu w maju 2000. I podobnie, jak to było w Toruniu, moje argumenty przeciwko Putnamowi były akceptowane. Dodam, że gdy byłem zapraszany do wygłoszenia odczytu w jakimś uniwersytecie, to zwykle podawałem kilka tematów, z których „Putnam contra Tarski" był wybierany najczęściej, co świadczy, że problem jest interesujący w skali międzynarodowej.

A oto refleksje LW o moim toruńskim spotkaniem z Putnamem (LW2, s. 108, s. 109): (a) „Nie można go [tj. mnie — J. W.] odwieść od sprowadzania ze złej „drogi" innych, nawet gdyby nie chodziło o maluczkich tego filozoficznego świata, ale gdy w grę wchodzą koryfeusze jak Putnam ostatnio."; (b) „[...] nic na to nie poradzę, że tabunu ani pułku logików nie postawię na równi z jednym jedynym Heideggerem, jeśli chodzi o pożytki dla filozofii, a niedawną próbę pokazania Putnamowi przez JW w Toruniu na „patyczkach formalizmu" jak bardzo się myli w swojej krytyce teorii prawdy Tarskiego mogę potraktować jedynie jako — nie wiem: bardziej śmieszny czy ponury, czy może pyszny (także od pychy) anegdotycznie — przejaw niezrozumienia przez krytyka co można zapisując tablicę formalizmem pokazać filozofowi tej klasy, jak Putnam właśnie."

Myśl zawarta w (a) jest osobliwa w tym sensie, że Putnam jest przecież filozofem analitycznym, przynajmniej w swych pracach na temat semantycznej definicji prawdy, a więc po cóż miałbym go „zawracać ze „złej" drogi". Lech Witkowski słuchał mego referatu w Toruniu (w każdym razie był na nim obecny) i zdołał odnotować przynajmniej tyle (daje temu świadectwo w (b)), że nie mówiłem wtedy o kwestiach metafilozoficznych, ale o konkretnym problemie rzeczowym. Po cóż więc LW opowiada, że zamierzałem zmieniać sposób filozofowania Putnama? Niezależnie od tego, wielokrotnie dawałem wyraz temu, że obce mi jest przekabacanie kogokolwiek na jakąkolwiek, w tym i analityczną, wiarę w filozofii. Dotyczy to zwłaszcza Lecha Witkowskiego, bo byłoby prawdziwym nieszczęściem, gdyby przez złośliwe zrządzenie losu stał się filozofem analitycznym. Zacząłem polemikę z LW w konkretnej sprawie dotyczącej oceny szkoły lwowsko-warszawskiej, jego negatywnej, a mojej pozytywnej. To mój adwersarz przeniósł ją na płaszczyznę obyczajowości akademickiej. Nie polemizuję z LW po to, by się zmienił w swych zapatrywaniach fundamentalnych, ale w obronie filozofii, którą uprawiam, przed atakami LW pełnymi niewybrednych

(patrz wyżej i niżej) kwalifikacji, a nawet pomówień. Zupełnie niedawno pewna studentka (I roku i to nie filozofii) zauważyła (po przeczytaniu tekstu LW1): „No proszę, prof. Witkowski wyzywa pana od logików." Tedy osoba postronna i niezbyt zaprawiona w filozofii bez trudu zauważyła, iż słowo „logik" funkcjonuje jako wyzwisko u Lecha Witkowskiego. Nie widać powodu, by milczeć w tej sytuacji, niezależnie od kpinek LW z moich polemik.

Fragment (b) jest jeszcze bardziej smakowity. Związek pomiędzy obiema częściami przedzielonymi spójką „a" jest chyba taki, że moje śmieszne lub ponure lub pyszne niezrozumienie, etc. jest ilustracją, dlaczego Lech Witkowski nie stawia tabunu (lub pułku) logików (jeśli chodzi o pożytki filozoficzne) z równi z Heideggerem, jedynym w swej jedyności. Spotkało mnie zatem spore wyróżnienie: reprezentuję filozoficzną mizerię światowego tabunu logików. Nota bene, radbym poznać zdanie Lecha Witkowskiego w sprawie teoriomodelowego argumentu Putnama przeciwko pewnej wersji realizmu, który to wywód jest zastosowaniem metalogiki w filozofii. Czy Hilary Putnam w związku z tym należy do tabunu lub pułku logików stojących niżej od jednego i jedynego Heideggera, „jeśli chodzi o pożytki w filozofii"? Chyba powinien tam być zaliczony, ale z drugiej strony, jest przecież koryfeuszem i filozofem „tej klasy właśnie". Przypuszczam jednak, że, wedle LW, co wolno wojewodzie, to nie tobie polski filozofie analityczny, a w szczególności Janowi Woleńskiemu (przy okazji prostuję mylną informację podaną przez LW: nie jestem profesorem logiki, ale filozofii; czynię to dlatego, by enuncjacje LW na mój temat nie obciążały środowiska profesjonalnych logików). Jeśli jest tak, jak to wyżej zasugerowałem, to znaczy, że Putnam stosuje logikę w filozofii dobrze, a ja źle, a co więcej, Lech Witkowski wie jakie kryteria są stosowne w ocenie tych spraw. Niechże je więc ujawni w ogólnym interesie publicznym. Do sprawy tej jeszcze wrócę, bo, zgoła nieoczekiwanie, sam LW w swej filozofii dyskursu skorzystał z argumentu odwołującego się do metamatematyki.

Lech Witkowski nie zna większości faktów, które podałem przed zacytowaniem jego słów w kwestii: Woleński contra Putnam. I nie ma powodu, by było inaczej. Mniemam, że sprawę, która jest przedmiotem tego sporu uważa za mało ważną lub zgoła nieważną. Zakładam jednak, że coś na ten temat wie, np. to, że Putnam krytykował Tarskiego, że Jan Woleński zmierzał do pokazania, że Putnam się myli, a czynił to odwołując się do pewnych pojęć formalnych. W każdym razie z tego, co LW oznajmia wynika, że w Toruniu zaistniało coś takiego, co było moją próbą pokazania Putnamowi, że myli się w swojej krytyce Tarskiego. Trudno było traktować o omega-niesprzeczności i podobnych sprawach bez napisania czegoś, a nawet wielu rzeczy, na tablicy. Nieuprzedzony słuchacz mego toruńskiego referatu zapewne pamięta, że polemizowałem z Putnamem nie tylko za pomocą formalizmu (czyli, jak LW malowniczo powiada „patyczków formalizmu"), a każdy czytelnik stosownych artykułów będzie się mógł o tym naocznie przekonać. Od konstatacji na temat zdarzeń w Toruniu okraszonej „patyczkami formalizmu" LW przechodzi, swoim wskazanym już trybem inferencyjnej swobody, do modalnego stwierdzenia *de se* „mogę potraktować

jedynie jako [...] przejaw niezrozumienia przez krytyka co można zapisując tablicę formalizmem pokazać filozofowi tej klasy, jak Putnam właśnie." Prawdziwość tego zdania jako wypowiedzi o samym sobie jest bezdyskusyjna. Z tego jednak nie wynika, że przejawiłem niezrozumienie w sprawie tego, co można, etc. Nie wynika też rzecz jasna, że rozumiem, co można pokazać, etc. Skoro tak właśnie rzecz przedstawia się, to LW ma obowiązek uzasadnienia swojej tezy. Dotychczasowe twierdzenia Lecha Witkowskiego w rozważanej sprawie są całkowicie gołosłowne, a także odosobnione, przynajmniej na razie. Gdy zabierze się do postulowanego uzasadnienia, powinien wyjaśnić dodatkowo, jak rozumie frazę „co można pokazać, etc.". Nie jest ona zbyt przejrzysta. Sugeruje ona (z uwagi na swą strukturę i treść kolejnych słów), że można jednak coś Putnamowi pokazać zapisując tablicę formalizmem, ale krytyk (tj. ja) nie rozumie, co. Ze słów LW wnoszę, że to wie i szczerze ubolewam, że nie chce uchylić rąbka tajemnicy. Wszelako ogólne nastawienie Lecha Witkowskiego do filozofii i jej metod jest chyba takie, że nic nie da się pokazać (Putnamowi czy komukolwiek innemu, niezależnie od „klasy właśnie") zapisując tablicę formalizmem. Mamy więc szkopuł: można pokazać coś czy można pokazać nic (= nie można pokazać niczego)? LW może ewentualnie skorzystać z logiki jednego i jedynego Heideggera, a zatem uznać, że nic jest jednak czymś. Tedy jednak zawsze coś można pokazać, a niekiedy owo coś, to jest nic. Niczego (w sensie potocznym, a nie Heideggerowskim) nie zmienią zaklęcia kwalifikujące przejaw mojego niezrozumienia tego, co można pokazać, etc. jako „śmieszny czy ponury, czy może nawet albo pyszny (także od pychy) anegdotycznie." Zachodzę przy tym w głowę, dlaczego Lech Witkowski jest tak łaskawy i suponuje, że niekoniecznie wszystkie te trzy ewentualności zachodzą. Daleko prościej, byłoby od razu przyjąć, że ów przejaw jest pyszny i śmieszny w swej ponurości (lub ponury w swej śmieszności), nawet anegdotycznie w rzeczy samej. LW nie ukoronował jednak swej demaskatorskiej diagnozy jakąś celną anegdotką. Spróbuję wypełnić tę lukę, aczkolwiek muszę brać pod uwagę, że nie sprostam koryfeuszowi dowcipu tej klasy jak Lech Witkowski właśnie. Może jednak taka propozycja odpowiada stosownym kryteriom: „Przychodzi baba do lekarza z tablicą zapisaną patyczkami formalizmów. Co pani jest? — pyta lekarz. Tabula rasa — odparła baba." Pyszne (od pyszności), nieprawdaż?

Niemniej jednak, w Toruniu rzeczywiście zdarzyło się coś ponurego i wcale nie śmiesznego. W trakcie jednej z dyskusji na rzeczonej konferencji Lech Witkowski oskarżył polskich filozofów początku XX w. o swoiste nieuctwo polegające na braku dostatecznej wiedzy o pragmatyzmie i brak zrozumienia tego kierunku. Łatwo wykazać, że mylił się w kwestii znajomości, chociażby z uwagi na polskie przekłady dzieł Jamesa, wydane jeszcze przed I wojną światową, elementy pragmatyzmu u Znanieckiego i Kozłowskiego (starszego), polemiki z tym kierunkiem u Twardowskiego i Leśniewskiego czy też korespondencję Lutosławskiego z Jamesem. Można spierać się rzecz jasna o to, czy polscy filozofowie właściwie rozumieli pragmatyzm, zwłaszcza w świetle współczesnych interpretacji tego kierunku, ale to też nie powód do formułowania uszczypliwych uwag, bo to, co Polacy mówili o pragmatyzmie w pierwszej

połowie XX w. nie odbiegało od ówczesnego standardu, a nawet idee logiczne Peirce'a były u nas lepiej znane niż, gdzie indziej. Wystąpienie Lecha Witkowskiego dlatego było ponure, że stanowiło jawną i niezasłużoną napaść na filozofię polską wobec sporego i znacznego grona filozofów zagranicznych. Wcale nie nawołuję do bezkrytycznego stosunku do przeszłej rodzimej filozofii, ale sądzę, że winniśmy chronić własną historię, a nie pomniejszać ją bezpodstawnymi ocenami negatywnymi. Powiedziałem o tym LW w przerwie obrad, a w odpowiedzi usłyszałem zacytowane wyżej słowa „Już niedługo z wami skończymy."

Wspomniałem wyżej o „nadużyciu epigońskim". Tak LW komentuje (LW2, s. 107) oświadczenie, że przynależę do obozu analitycznego (ironicznie kwalifikowanego jako „świetlany"). Jest to nadto „zwykła aberracja intelektualna" (LW2, s. 107). Te sympatyczne kwalifikacje rozpoczynają bogatą kolekcję epitetów i diagnoz: „myli im się [analitykom — JW] często pochwała mądrości poszukiwanej z pychą mądrości własnej" (LW2, s. 107), „nie są [analitycy — JW] w niczym bardziej racjonalni i logiczni od normalnego, tj. bez obsesji logistycznych i scjentystycznych, twórczego filozofa" (LW2, s. 107), „[ich, tj. analityków — JW] błądzące dusze" (LW2, s. 107), „ich [analityków — JW] pycha zamula przestrzeń, dla głosu takich postaci jak Ingarden, Elzenberg i Skarga" (LW2, s. 108), „JW ma kłopoty z pamięcią, czy ja już nie wiem z czym" (LW2, s. 111), „pyszny logik" (LW2, s. 111), „[analitycy — JW] niesmacznie pyszni bywają" (LW2, s. 112), „wiele zwykłej hochsztaplerki analitycznej buty i głupoty kulturowej ma miejsce we współczesnej filozofii, także analitycznej zresztą na jej „szczytach"" (LW2, s. 113; to w związku z analizą znaczenia słowa „postmodernizm" przez kogoś nie wymienionego z nazwiska), „obłęd semantyczny" (LW2, s. 113, desygnat tego terminu nie jest wyraźnie wskazany, ale zapewne jest to przypadłość logika lub filozofa analitycznego), „skandaliczne uzurpacje analityczne" (LW2, s. 113), „[analitycy — JW] bywają nudni i płytcy aż po banalność" (LW2, s. 113), „a te ich [tj. analityków — JW] „szyfry analityczne" bywają jeszcze gorszej maści, bo bałamutne, czy mówiąc ostrzej a bardziej adekwatnie wobec wartości poznawczej — oszukańcze w pysze, a przynajmniej naiwne w poczuciu wyższości" (LW2, s. 113), „pyszni analitycy" (LW2, s. 113), „pycha rozdająca pouczenia" (LW2, s. 113), „krzyczy i wymachuje potępieniami" (LW2, s. 114) i „pycha analityczna" (LW2, s. 114). Lech Witkowski szczególnie upodobał sobie, zapewne z powodu swej przyrodzonej skromności, słowo „pycha" i przymiotnik od niego pochodny (por. też dalej). Bynajmniej nie jestem barankiem polemicznym. Uważam, że polemiki winny być ostre i, by tak rzec, soczyste. Nie stronię od takich. Zdaję sobie sprawę z tego, że moje starcia z innymi zawierają wypowiedzi niekoniecznie miłe dla adwersarzy. Ale przynajmniej staram się, by każde dosadne sformułowanie było osadzone w dokładnie identyfikowalnym fragmencie tekstu autora, z którym się spieram. A jest tak po to, by mógł on wykazać, że się mylę. Natomiast żaden z epitetów, którymi tak ochoczo szafuje Lech Witkowski wobec mnie i innych filozofów analitycznych, nie został przez niego należycie udokumentowany. Pokazałem to już wyżej na kilku przykładach. Niżej podam dalsze.

Lech Witkowski używa też określeń z psychiatrii: „aberracja intelektualna", „obsesje logistyczne i scjentystyczne" i „obłęd semantyczny". Psychiatryczne ambicje Lecha Witkowskiego wymagają powrotu do pewnej kwestii z poprzedniej polemiki. Uznałem tam (JW1, s. 89) wypowiedź LW (LW1, s. 117): „Nie jest przypadkiem, że jedna z chorób kwalifikowanych za umysłowe polega na zachowaniu skrajnej poprawności formalnej" jako „prawdziwe ukoronowanie inwektyw" pod adresem filozofów analitycznych. Oto komentarz LW do tej sprawy (LW2, s. 111): „[...] jedynie zwykłej niewiedzy JW zawdzięczam ja i czytelnicy jego polemiki ze mną to, że do rodzaju właściwych mi podobno „inwektyw" i to jeszcze „prawdziwego ich ukoronowania" zaliczył wykorzystanie przeze mnie informacji, że skrajna poprawność formalna myślenia bywa zachowana w jednej z chorób kwalifikowanych jako umysłowe. Widać, że nigdy nie zatknął się z teoretycznym, wręcz podręcznikowym, opisem stanów określanych mianem paranoi. No cóż, nic na to przecież nie poradzę, że są fakty tak boleśnie niewygodne dla pysznego i ufnego logika. A od kiedy to poprawność logiczna ma gwarantować mądrość i zdrowy rozsądek, drogi Janie? Porzuć wreszcie te naiwności, bo z konieczności prowadzą poza granice powagi. Aż dziw, że o tym nie wiedziałeś. A może to nic dziwnego, że JW jako logik tego nie rozumie?" Dla należytego przedstawienia sprawy trzeba zatem zacytować szerszy kontekst, w którym po raz pierwszy pojawiła się wzmianka o „zachowywaniu poprawności formalnej". Wygląda ona tak (LW1, s. 117): „To bowiem, co się komu podoba i komu się podoba [aluzja do moich słów, ale to jest tutaj bez znaczenia — JW] nie jest bez znaczenia w zwykłej toczącej się walce o dominację myśli w jakże przenikliwie obnażonym przez Elzenberga *stanie wojny*: ze scjentystami o naukę, z apologetami racjonalności o rozumność, ze stronnikami logicyzmu o odzyskanie przestrzeni myślenia filozoficznego dla kultury. Nie jest przypadkiem, że jedna z chorób kwalifikowanych jako umysłowe polega na zachowaniu skrajnej poprawności formalnej myślenia logicznego. Uwaga ta nie odbiega od odczuć samego Elzenberga z *Kłopotu z istnieniem*: Ci, którzy kosztem reszty tak chwalą samą tylko *logiczność* niektórych umysłów przodujących w myśleniu, są jak ludzie, którzy w samochodzie cenili tylko hamulec" [..]" Po pierwsze, twierdzę, że miałem prawo potraktować to jako stwierdzenie, że filozofowie analityczni cierpią na chorobę umysłową, chyba, że Lech Witkowski pisał równocześnie jakiś inny artykuł i to zdanie przypadkowo znalazło się w jego polemice ze mną, tej pierwszej, ale z kolei druga temu raczej przeczy (nie od rzeczy jest też uwaga, że LW tylko sobie znaną techniką interpretacyjną doszedł do wniosku, że jego diagnoza „nie odbiega od odczuć samego Elzenberga"). Po drugie, tezę, że filozofowie analityczni cierpią na chorobę umysłową z racji swych postulatów metodologicznych, traktuję jako inwektywę. Po trzecie, mamy tutaj kolejny przykład wielce osobliwych inferencji Lecha Witkowskiego, który ze zdania, iż posądzenie o chorobę psychiczną jest inwektywą, wysnuwa wniosek, że ten, który to zdanie wygłosił nigdy nie zetknął się z „teoretycznym, wręcz podręcznikowym opisem stanów określanych mianem paranoi." Po czwarte, jeśli już o mowa o „teoretycznym opisie", to jednym z objawów paranoi jest nie świadome postulowanie poprawności logicznej,

ale jej nieuświadomione zachowywanie; tak więc można by dyskutować, kto i z czym zetknął się. Po piąte, pomijając już kwestię dotkniętą w punkcie czwartym, rozumowanie diagnostyczne, tj. prowadzące od objawów do ich przyczyn ma charakter redukcyjny i jako takie jest zawodne, podczas, gdy Lech Witkowski traktuje je jako niezawodne („nie jest przypadkiem, że pewna choroba polega"). Po szóste, nie twierdzę i nigdy nie twierdziłem, że poprawność logiczna ma gwarantować mądrość i zdrowy rozsądek. W tej sytuacji dywagacje Lecha Witkowskiego o tym, co „drogi Jan" ma porzucić dla zachowania granic powagi, czego nie wie i nie rozumie, są zwyczajnym folklorem perswazyjnym bez jakiejkolwiek zawartości informacyjnej.

Pozwolę sobie jeszcze przytoczyć kilka przykładów z argumentacyjnej łączki LW. Uważa on (LW2, s. 109) np., że odmawiam B. Skardze „prawa do odpowiedzialnego nazwania wybitnych filozofów bez uzgodnienia tego z nim (może nie?)". Oczywiście, że nie — to odpowiedź na pytanie w nawiasie. Rzecz dotyczy mojej polemiki z B. Skargą w *Przeglądzie Filozoficznym* VIII (1999), nr 4, ss. 191—201, a dokładnie jej stwierdzenia (także cytowanego w LW1, s. 88), że „[...] w Polsce wybitnych filozofów w naszych czasach było zaledwie trzech: Roman Ingarden, Henryk Elzenberg i Leszek Kołakowski." Napisałem i nadal tak podtrzymuję, że jest to historyczny fałsz. Z tego nie wynika, że B. Skarga i L. Witkowski nie mają prawa do ułożenia własnej listy czy własnych list wybitnych filozofów polskich. Mogą jeśli zechcą rozpisać stosowną ankietę (B. Skarga uczyniła to np. gdy układała wykaz dzieł do zredagowanego przez siebie przewodnika po literaturze filozoficznej XX w. i skorzystała z wielu sugestii, także moich), ale mogą też robić to całkowicie na własny rachunek. Każdy jednak musi liczyć się z reakcją innych. 4—5 grudnia 1999 r. odbyła się w Krakowie konferencja poświęcona filozofii polskiej XX w. W jej trakcie publicznie i w obecności B. Skargi zgłosiłem swoje zastrzeżenia wobec ułożonej przez nią listy. Powiedziałem, że brakuje na niej m. in. Kazimierza Ajdukiewicza i Tadeusza Kotarbińskiego. W odpowiedzi usłyszałem od B. Skargi, że ona bardzo szanuje Ajdukiewicza i Kotarbińskiego, a z tego, co napisała, a ja zacytowałem, wcale nie wynika („nie idzie wynikanie", jak to ujęła), że nie było innych wybitnych polskich myślicieli. Otóż, właśnie wynika, że tylko trzech było wybitnych. Ten rys opinii B. Skargi został od razu podkreślony przez innych uczestników sympozjum. Niech więc Lech Witkowski nie manipuluje moimi tekstami, ale zabierze się do argumentacji, wedle jakichś wyraźnie ujawnionych reguł, że rację ma B. Skarga a nie ja. Kolejny przykład (LW2, s. 111): „Daruję też jego [tj. moje — JW] rozpaczliwe próby oddalenia ewentualności, że można tak poprawnie analitycznie przeprowadzić rozumienie terminów i analiza [(chyba jednak „analiza"; kładę to na karb korekty, aczkolwiek w wypadku LW nigdy nie wiadomo, czy cudzysłów jest potrzebny czy nie — JW.] i filozofia [patrz poprzedni nawias kwadratowy — JW.], że zbitka „filozofia analityczna" wypadnie poza obręb klasy „filozofia", co zresztą jej grozi — moim zdaniem nie przez moją złośliwość, tylko przez wewnętrzne słabości tego czegoś we współczesnej humanistyce." Pominę łaskawość LW („daruję mu"), powagę dyskusyjną („tego czegoś"), skromność (LW dopuszcza, że filozofia analityczna może upaść

z powodu jego złośliwości, a przynajmniej, że ktoś mógłby tak pomyśleć), inwencję semantyczną (powszechnie stosowany, także przez filozofów nieanalitycznych, termin „filozofia analityczna" jako zbitka) i sprawę słabości „tego czegoś". Przypomnę, że komentowałem (JW1, s. 101) tezę Lecha Witkowskiego (LW1, s. 119), iż „z powodów logicznych typowa relacja jest tu możliwa, a powodów merytorycznych konieczna w postaci wyrzucającej jakość rozważań «logicznych filozofów» poza filozofię". Przyjąłem przy tym, że LW ma na myśli wykazanie, że filozofia analityczna nie jest filozofią. Sformułowałem przy tym takie uwagi: (a) jest oczywiście możliwe, że filozofia analityczna nie jest filozofią; (b) z tezy (a) nie wynika jeszcze, że filozofia analityczna nie jest filozofią; (c) nic nie wynika dla całej sprawy z informacji, że odnośna relacja jest logicznie możliwa, a merytorycznie konieczna, skoro nie wiemy, co typowe z powodów logicznych, a co jest konieczne z powodów merytorycznych; (d) trzeba też wyjaśnić, czy „filozofia" jest terminem rodzajowym czy rodzinnym; (e) samo odróżnienie dwóch ról, determinującej i modyfikującej (w mojej terminologii) przymiotników, w tym przypadku słowa „analityczny", jest jedynie punktem wyjścia i niczym więcej. Lech Witkowski kwalifikuje to jako „rozpaczliwe próby oddalenia itd.". Ma to zapewne sprawić wrażenie, że jestem bezradny wobec zniewalającej argumentacji LW w sprawie wypadnięcia filozofii analitycznej poza burtę filozofii. Ja natomiast kwalifikuję posunięcia LW jako próbę uchylenia się od przeprowadzenia stosownego wywodu. Zamiast tego Lech Witkowski po raz kolejny zapowiada, że ewentualnie można to zrobić „poprawnie analitycznie", ale czyni to tak, jakby ową ewentualność już był przeprowadził. Zważywszy jego inferencyjne talenty, wyżej już zademonstrowane (patrz też niżej), wydedukowanie rzeczywistości z ewentualności nie byłoby zresztą żadnym zaskoczeniem.

Wprawdzie nie wiem, co LW ma na myśli, gdy wzmiankuje o analitycznie poprawnym przeprowadzeniu (czy poprawność definicji, czy to, że jest ona sprawozdawcza czy jeszcze coś innego), pokażę jednak, że przy jego konwencjach rzeczony wywód daje się z łatwością zrealizować. Musimy jednak to i owo wcześniej ustalić. Gdy mowa np. o klasie (zbiorze) liczb naturalnych, to mamy na myśli zbiór składający się z liczb naturalnych. Co to jest jednak klasa „liczby naturalne" (gdyby ktoś chciał powiedzieć coś o zbiorze liczb naturalnych, to nie użyłby wyrażenia „zbiór „liczby naturalne"", a więc zbiór „liczby naturalne" musi być czymś innym niż zbiór liczb naturalnych; wysnuwam tu wnioski z konwencji językowych, a nie z domniemania, że zbiór licz naturalnych jest tym samym, co zbiór „liczby naturalne")? Może to być jedynie klasa składająca się z wyrażenia „liczby naturalne". Tak więc klasa „filozofia" jest to klasa X = {„filozofia"}. Zbitka pojęciowa „filozofia analityczna" jest też jakąś klasą, powiedzmy klasozbitką Y = {„filozofia analityczna"}. Jest rzeczą oczywistą, że iloczyn X i Y jest klasą pustą. W ten sposób pokazaliśmy w sposób analitycznie poprawny, że klasozbitka „filozofia analityczna" wypadła poza obręb klasy „filozofia". Ale uwaga tak jest tylko przy dystrybutywnym rozumieniu zbiorów. Gdy przyjmiemy sens mereologiczny, to klasa składająca się z jednego elementu jest mu równa. Wtedy klasa X jest mereologiczną częścią klasozbitki „filozofia analitycz-

na". Ten rezultat zapewne zmartwi Lecha Witkowskiego. Mnie zresztą też nie cieszy, ponieważ wprowadza do filozofii analitycznej to, co uprawia sam LW. Nie traktuję oczywiście na serio powyższych «dowodów», aczkolwiek, jeszcze raz powtarzam, są prostymi konsekwencjami kaligrafii LW, dokładniej sposobu brania słów w cudzysłowy. Problem, aczkolwiek bardziej urojony niż rzeczywisty, polega na pytaniu, czy filozofia analityczna jest filozofią, a więc wedle odczytania myśli Lecha Witkowskiego bez zbędnych cudzysłowów. Rozumiem, ze LW jest przekonany o swym powołaniu do spełnienia odwiecznego marzenia filozofów i ogłoszenia wszem i wobec, czym jest filozofia jako kategoria generyczna. Myślę, że mierzy siły na zamiary, a nie zamiary na siły (dlatego rzecz uważam za urojoną), ale niech mu będzie. Póki co zaproponuję mu proste rozwiązanie: (a) *F* jest wytworem filozoficznym wtedy i tylko wtedy, gdy jest uznane za takowy przez Lecha Witkowskiego; (b) W razie wątpliwości trzeba zapytać Lecha Witkowskiego. Określenie to wraz z tezą „To, co Lech Witkowski uznaje za podpadające pod zbitkę „filozofa analityczna" nie jest filozofią" od razu daje pożądany przez niego rezultat, mianowicie, że filozofia analityczna nie jest filozofią. Co było do okazania. Jest to dowód w pełnym tego słowa znaczeniu i analitycznie poprawny. Trzeba tylko założyć, że (a) jest definicją projektującą, a nie sprawozdawczą czy nawet regulującą. I w tym właśnie cały szkopuł, ponieważ LW tak prawi, jak gdyby najzupełniej sprawozdawczo zdawał sprawę z merytorycznej konieczności wykluczenia filozofii analitycznej z filozofii w ogóle. Niech każdy już sam dla siebie oceni, kto podejmuje rozpaczliwe próby oddalenia i czego.

Kończę tę sekwencję argumentacyjnych osobliwości takim przypadkiem (LW2, s. 110): „[...] co mam myśleć o „epistemologu", który widać nigdy nie słyszał o formule Bachelarda o teorii jako „wyrafinowanym błędzie", przez co jest poza jego wyobraźnią co oznacza idea „rehabilitacji błędu w poznaniu", o całą epokę przekraczająca idea „dopuszczenie błędu". Może znajomość Poppera mogłaby tu pomóc." A więc od końca. Nie wiem, do czego miałaby pomóc znajomość Poppera. On wcale nie proponuje rehabilitacji błędu, ale uznaje, że trzeba je eliminować (na tym bowiem polega postęp nauki). Błąd ma ujawniać prawdę, a nie swoje wyrafinowanie. Ani bronię tego poglądu ani go krytykuję. Nawiasem mówiąc, Popper nigdy nie wspominał Bachelarda, a więc można wnosić z tego, że niezbyt go cenił. (To tylko w związku z grą w autorytety, a nie *ad meritum*)). A co ja napisałem. Mianowicie tak (JW1, s. 94): „[...] nie czuję się zobowiązany do podzielania opinii Bachelarda w sprawie teorii jako wyrafinowanych błędów, i nie jestem odosobniony w tym względzie." Niewykluczone, że mój pogląd jest mylny. Jakby nie było, wniosek Lecha Witkowskiego, że nie słyszałem o ideach Bachelarda wyprowadzony ze zdania, że nie czuję się zobowiązany do ich podzielania jest paralogizmem rzadkiej klasy, nawet w sytuacji, gdy, co przyznaję, Bachelard nie jest filozofem dobrze mi znanym. Rozumiem, że LW jest żywotnie zainteresowany rehabilitacją błędu, bo wtedy mógłby uzasadnić wszelkie napisane przez siebie rewelacje, w samej rzeczy niezbyt wyrafinowane. Ale to jego potrzeba, a nie moja.

Lech Witkowski zmusił się też do zapewne wielce dla niego niemiłego zajęcia polegającego na podjęciu analitycznej krytyki pewnych moich sformułowań. Dzieli się to zbożne dzieło na dwie części. W pierwszej (LW2, s. 110—111; w tym fragmencie znajdują się rzeczy o Bachelardzie i rozpaczliwych próbach, a także oskarżenie o kłamstwo) dotyka tego, co napisałem w polemice z nim, a w drugiej (LW2, s. 114—115) zajmuje się moimi poglądami metafilozoficznymi. LW rozpoczyna swój analityczny wysiłek, tak jak przystało na rzecznika interesu publicznego, tj. obwieszczenia o czymś wielce zdrożnym. Pisze mianowicie (LW2, s. 109—110): „[...] wielokrotnie czytając jego polemikę ze mną nie byłem ciągle w stanie uwierzyć, że nie jest świadom nadużyć, jakich się dopuszcza wobec mnie." Oto owe przewinienia z moim komentarzem: (a) Niewinnie przegaduję i wypisuję, co mi się chce, po to, by „wspaniałomyślnie" powiedzieć, że „wiem, że nie to Witkowski ma na myśli". Komentarz: To przecież oczywiste, że nie piszę tego, czego nie chcę. Stwierdzenie „wiem, że nie to Witkowski ma na myśli" zdarzyło się to tylko raz w takim oto kontekście: podałem racje za tym, że polscy filozofowie mają prawo do dobrego samopoczucia i zauważyłem, że LW nie takie samopoczucie ma na myśli; żadnej wspaniałomyślności w tym wypadku nie było — przy wszystkich swych ułomnościach wiem to lepiej od LW; (b) Cytuję teksty w takich celach, jak tuszowanie, że i tak zrobię z nimi, co zechcę. Komentarz: To już niech każdy oceni sam dla siebie, a pewne wnioski można wyprowadzić z mojej analizy cytowanych fragmentów LW w niniejszym artykule; w każdym razie LW traktuje moją praktykę jako niecną; (c) Sugeruję, że LW nie rozumie operacji brania w cudzysłowy. Komentarz: Dalej tak twierdzę — patrz wyżej o klasie „filozofia", aczkolwiek przyznaję, że w LW2 wygląda to nieco lepiej, np. pojawił się prefiks „tzw."; (d) Dopuszczam się nadużycia stosując słowo „przypisuje". Komentarz: Wiele razy wskazywałem, że Ingarden błędnie przypisywał szkole lwowsko-warszawskiej rozmaite tezy. Lech Witkowski nie zgadza się z tym, najwyraźniej uważając, że Ingarden miał rację bezdyskusyjnie; kolejny raz okazuje się, że jeśli coś głoszę z czym LW nie zgadza się, to dopuszczam się nadużycia; (e) Bezzasadnie wykorzystuję cytat z Borzyma. Komentarz: Tutaj upraszczam sprawę, bo nie chcę powtarzać jeszcze raz dyskusji w sprawie Bachelarda; w każdym razie wytknąłem LW przekręcenie cytatu z Borzyma nie po to, by interpretować Bachelarda, ale po to, by wyjaśnić odpowiednie motywy Leśniewskiego i Łukasiewicza w sprawie ich konwersji z filozofii do logiki; (f) Zarzucam LW, że pewna jego sugestia jest całkowicie błędna a coś innego całkiem nonsensowne, z dodatkiem (LW2, s. 110) „bez tłumaczenia, co „całkiem" znaczy, ani czy jego [tj. mój — JW] werdykt jest „całkiem" sensowny lub „całkowicie" prawdziwy, czy tylko sensowny w miarę i na miarę jego wyobraźni". Komentarz: Sugestia całkowicie błędna to teza LW, że szkoła lwowsko-warszawska utożsamiała kulturę z nauką, a za całkiem nonsensowne uznałem skojarzenie przez LW w jednym zdaniu dwóch fragmentów mojej książki *Szkoła lwowsko-warszawska w polemikach* dotyczących różnych rzeczy. I cóż tutaj jeszcze pozostaje do wyjaśnienia, a jeśli LW na tym zależy, to mogę usunąć „całkowicie" i „całkiem" przez, co i tak niewiele zmieni się, o ile w ogóle cokolwiek. Lech Wit-

kowski lepiej zrobiłby, gdyby uzasadnił, że jego sugestia nie jest błędna, a zestawienie dwóch fragmentów z mojej książki ma za przedmiot to samo; (g) Uważam, iż LW wypowiedział jeden literalny nonsens, przy czym LW dodaje (LW2, s. 110), że literalny nonsens „jest tajemniczym pojęciem rasowego logika (gratuluję zresztą)". Komentarz: Rzecz dotyczy stwierdzenia LW, że „tradycja jest sprowadzana do logistycznie zredukowanego obrazu", które traktuję jako błąd kategorialny, coś w rodzaju powiedzenia, że liczba 2 spaceruje sobie po Rynku Głównym w Krakowie. Literalny nonsens polega na tym, że ujawnia się poprzez dosłowne znaczenie słów. Nie ma czego gratulować w tym wypadku, a najwyżej samemu sobie za pomieszanie literalności z literalizacją (o tym drugim patrz niżej); (h) Wytykam LW rzeczy mało ważne, np. pomieszanie tradycji i obrazu tradycji; LW dodaje (LW2, s. 110) „jakie to odkrycie". Komentarz: Dla mnie jest ważne, czy powie się „obraz tradycji " czy powie się „tradycja", ale nie jest to żadne odkrycie, a tylko ujawnienie zamętu w tekście LW; (i) Cyzeluję pojęcie tradycji, co nic nie daje, ponieważ pomijam to, o co toczy się merytoryczny spór. Komentarz: Wcale nie cyzeluję, a tylko zauważam, że dziwna to tradycja wileńsko-lwowska, skoro Elzenberg i Ingarden nie mieli wiele wspólnego w swych poglądach. Teraz każdy może dostrzec, kto unika meritum sprawy; (j) Grzeszę używając zwrotu (a nawet zbitki) „lamenty miłośników szyfrów metafizycznych", bo stosuję je tylko do Lecha Witkowskiego (co ma wynikać ze zdania, że to określenie było adresowane przede wszystkim do niego), a przecież użyłem rzeczonej zbitki w liczbie mnogiej; LW dodaje (LW2, s. 111): „zresztą w polemice z B. Skargą owe „szyfry" także się pojawiają, a więc JW ma kłopoty z pamięcią, czy sam już nie wiem, z czym." Komentarz: Sprawę lamentów etc. dokładniej wyjaśniłem w JW1, s. 100—101, a tutaj dodam: (1) znowu mamy dziwną inferencję z „to a to dotyczy tylko mnie" ze zdania „to a to było skierowane przede wszystkim do mnie"; (2) termin „szyfr" nie występuje (i kto ma kłopoty, sam nie wiem z czym?) w mojej polemice z B. Skargą w *Przeglądzie Filozoficznym* (patrz wyżej), a nawet, gdyby występował, to nie widzę powodu, by go używać tylko w odniesieniu do LW, nawet w zbitce „lamenty miłośników szyfrów metafizycznych"; (3) (to akurat powtarzam) mogę poniechać owej zbitki na rzecz zwrotu „pretensje Lecha Witkowskiego i jemu podobnych filozofów do analityków za to lub tamto", przy czym jestem w stanie zawsze lub przynajmniej przeważnie wykazać, że są to pretensje o rozmaite niegodziwości, np. zamulanie, nadużywanie, itd.; (4) nie ja wymyśliłem termin „szyfr metafizyczny", ale został on wprowadzony przez filozofów bliskich LW — to tylko tak dla poinformowania osób nie wiedzących o tym.

Lech Witkowski podsumowuje część zdemaskowanych przez siebie moich nadużyć w taki sposób (LW2, s. 110—111): „Dajmy więc temu pokój [aczkolwiek wcale nie daje, ten fragment jest gdzieś w środku jego całego tekstu — JW]. JW pastwi się łapiąc mnie za słówka i zwroty (no bo to kluczowe: tradycja i obraz tradycji i jakie to odkrycie!) mogę i ja, żeby nie pozostało „całkiem fałszywe" wrażenie, ze jest tu w czymś nadzwyczajnie lepszy ode mnie [...] Wygląda, że cała trudność polega na spowodowaniu, żeby Jan Woleński przyjął coś do wiadomości". Nie pochlebia mi

wcale to, że ewentualnie jestem nadzwyczajnie czy zwyczajnie lepszy od Lecha Witkowskiego w tym czy też czymkolwiek innym, bo to żaden sukces. Zatem bez waloryzowania, co jest lepsze czy gorsze powiem tak. Różnica pomiędzy LW i mną polega na tym, że ja prowadząc z nim polemikę na temat jakiegoś fragmentu jego tekstu staram się dyskutować, natomiast on przechodzi na poziom metadyskusji. Ostatnie z cytowanych zdań (zaczyna się od „Wygląda) jest typowe dla LW. Powiada ono o czymś, ale nie wiadomo o czym. Można je rozumieć uniwersalnie, np. „Jan Woleński niczego nie przyjmuje do wiadomości. I to jest cała trudność". Uważam to zdanie za fałszywe. Ale można też to rozumieć jako „Jan Woleński nie przyjmuje do wiadomości czegoś, co Lech Witkowski uważa za ważne. I to jest cała trudność." Cała trudność polega na tym, że nie wiadomo, co to ma być trudnością, mniejsza o to, czy całą czy cząstkową. Nie wystarczy bowiem wyjawić, że rzecz, której nie przyjmuję do wiadomości, to merytoryczna strona sporu czy troska o poważną teorię kultury. Owa metadyskusyjna skłonność ujawnia się w takich np. sprawach: Ja zarzucam LW błąd w konstruowaniu obrazu tradycji szkoły lwowsko-warszawskiej, a w odpowiedzi dowiaduję się, że przecież to nieważne, czy obraz czy tradycja i jakie to odkrycie (z wykrzyknikiem). Ja zwracam uwagę na błędne przytoczenie poglądu Stanisława Borzyma, a LW zarzuca mi, że do tego redukuję sprawę oceny błędu. I tak w większości wypadków. Lech Witkowski nie raczył przy tym odpowiedzieć na całą listę konkretnych zarzutów, ale za to poczynił masę uwag z poziomu metadyskusji. W jednym wypadku coś konkretnie zapowiedział (LW2, s. 111), mianowicie: „Może jeszcze kiedyś uda mi się lepiej wyłożyć, dlaczego mam tak wiele zastrzeżeń do roboty Jana Woleńskiego jako historyka tradycji filozofii polskiej w XX wieku jak uznam, że gra jest warta świeczki." Jestem przede wszystkim historykiem logiki i filozofii analitycznej XX w. w Polsce, a nie po prostu historykiem tradycji filozofii polskiej XX w. (to raczej LW mianuje się takowym, bo rozprawia swobodnie o wszystkim w tym względzie), aczkolwiek czasem pisuję na inne tematy, np. o Ingardenie znacznie częściej niż Witkowski czy Skarga. Mniejsza jednak o to. Gorąco zachęcam Lecha Witkowskiego do spełnienia tejże zapowiedzi. Gra jest naprawdę warta świeczki. W końcu moja książka *Filozoficzna szkoła lwowsko-warszawska* jest głównym źródłem informacji w Polsce na temat tradycji analitycznej w filozofii polskiej, jej angielska wersja spełnia tę funkcję na świecie, a ponadto przygotowywane jest wydanie rosyjskie; do tego dochodzi jeszcze kilkadziesiąt innych prac na ten sam temat. Lech Witkowski jako rzecznik interesu publicznego w filozofii polskiej powinien stanowczo ostrzec narody przed moimi błędami w sprawie „tradycji filozofii polskiej".

Jak już zaznaczyłem Lech Witkowski zabrał się także do moich poglądów metafilozoficznych. Te sprawę mogę omówić tutaj tylko bardzo krótko, bo rozwinięcie wymagałoby napisania traktatu. Napisałem sporo prac metafilozoficznych. Nigdzie nie sugerowałem nawet, że mam jakąś receptę na metodę filozoficzną. Nie jest nią także tzw. literalizacja (termin nie pochodzi zresztą ode mnie), a więc sposób rozjaśniania problemów i tez filozoficznych drogą stosownych parafraz, czasem w języku logiki, czasem nauki, a czasem języku potocznym. Zaznaczałem niejeden raz, że nie

ma ogólnego sposobu literalizowania, nie ma też ogólnego kryterium jasności (por. też następny akapit), że każda parafraza musi być oceniana sama dla siebie, że nie ma sposobów rozstrzygania tez filozoficznych niezależnych od założonej metafilozofii itd. A Lech Witkowski zarzuca mi, że niczego nie zdefiniowałem, że niczego nie udowodniłem, że piszę, że coś jest jakoś sprawdzalne, że wyłącznie deklaruję itd. LW przypisuje mi (by znowu dopuścić się nadużycia) postulaty, których nigdy nie wygłaszałem i obraz metody analitycznej, którego nigdy nie aprobowałem. Jego uwagi (nie tylko w tym fragmencie) są okraszone rozmaitymi zwrotami (niektóre powtarzam) w stylu „wielokrotnie czytając jego polemikę ze mną nie byłem ciągle w stanie uwierzyć" (LW2, s. 109—110), „co mam myśleć o" LW2, s. 110), „zachodzę w głowę" (LW2, s. 110), „zresztą usiłuję rozgryźć od dawna, ale analitycznie jest to bezskuteczne" (LW2, s. 110)", „najróżniejsze *deklaracje* i wyznania składa, jak najzwyklejszy adept filozofii, bezradny wobec komplikacji semantycznych kluczowych miejsc swej argumentacji, a nie jakiś tam super analityk" (LW2, s. 114), „Konia z rzędem temu, kto udowodni, że Woleński [...] cokolwiek udowodnił" (LW2, s. 114) czy „udający cnotę i odmawiający jej innym, a grzeszący tak samo" (LW2, s. 115). W wielu przypadkach są to znaczniki konstatacji *de se*, a nie *de re*, a więc świadczą bardziej o nim samym niż o materiach, które podnosi. Nawiasem mówiąc, innym czasem udaje się rozgryźć moje metafilozoficzne postulaty i nawet piszą prace na ich temat. Widać mają lepsze uzębienie.

Po tych preparacjach już wszystko idzie gładko. Nie zdefiniowałeś jasności, to nie masz praw twierdzić, że kontrast pomiędzy jasnością a jej brakiem jest rzeczywisty. Nie udowodniłeś niczego o literalizacji, to nie masz prawa zaprzeczać (i to buńczucznie), że Heidegger coś udowodnił w normalnym sensie (LW, swoim zwyczajem, nie raczył uwzględnić, że dotyczyło to tezy o unieważnieniu logiki; czyżby LW uważał, iż Heidegger to udowodnił) czy utrzymywać, że język Platona nie jest całkowicie jednoznaczny (a jest?; moja uwaga dotyczyła tzw. argumentu „trzeciego człowieka"). Nawet można podstawić „Woleński" za „Waismann" w niżej cytowanym zdaniu (to z książki *W stronę logiki*, Kraków 1996, s. 13): „Niestety, Waismann nie definiuje ani pojęcia dowodu, ani pojęcia argumentu filozoficznego, a także nie sugeruje on w miarę jednoznacznych wyjaśnień pozadefinicyjnych tyczących się tego, jak rozumie te dwa bądź co bądź kluczowe w jego rozważaniach pojęcia." Jak już wyżej zaznaczyłem, nie zmierzałem do definicji, a to, czy moje wyjaśnienia pozadefinicyjne są czy nie są „w miarę jednoznaczne" jest oczywiście dyskusyjne, jak wszystko w metafilozofii. Zresztą sam w swoich tekstach przyznaję, że nie jestem w stanie postulatów metafilozoficznych uczynić jednoznacznymi do końca i staram się podać rację, dlaczego tak jest. Jedni to akceptują, inni nie. LW należy do tych drugich i komentuje to tak (LW2, s. 114): „Otóż łatwo zobaczyć, że w wielu najistotniejszych sprawach filozoficznych „analitykowi" pozostaje owo wyznanie i nadzieja, nijak nie przystająca do pychy rozdających pouczenia." A dalej podaje taki oto przykład (LW2, s. 115): „Niejasności u Heideggera JW próbuje „wykazać", ale jednocześnie wyznaje, że „swe rozumienie jasności" potrafi jedynie zademonstrować na przykła-

dach". Ot i cała finezja analizy w istotnych i kontrowersyjnych sprawach." Na to odpowiadam tak. Definicja jasności, której Lech Witkowski domaga się ode mnie musi być zdaniem ogólnym. Ponieważ nie mam pomysłu na takie zdanie, nie tylko zresztą ja, więc proponuję przykłady. Jeśli LW uważa, że to mało, niech zaproponuje coś lepszego lub też okaże, iż moje przykłady nie przyczyniają się do analizy pojęcia jasności. Natomiast sprawa z Heideggerem dotyczy konkretnego zdania, mianowicie „Nicość nicuje". To poddałem analizie kontynuując idee Twardowskiego i Carnapa (potem znalazłem też podobne uwagi Davida Hilberta na ten sam temat). Twierdzę zatem, że wykazałem niejasność zdania „Nicość nicuje", relatywnie do wyraźnie sformułowanej reguły: przekład zdania filozoficznego na język logiki (w tym przypadku rachunku predykatów I rzędu) może ujawnić, że zdanie to jest niejasne. Lech Witkowski to wszystko zignorował. Znowu mamy zastąpienie dyskusji metadyskusją, bo LW powiada (LW2, s. 114) o elementarnych brakach definicji (bez podania przykładów) i na tej podstawie utrzymuje dalej, że owe braki „czynią tam różne deklaracje jałowymi, np. bez „jasnej" definicji „literalizacji" brzmi bałamutnie odkrycie Woleńskiego: „jeśli coś daje się zliteralizować, to da się jasno wyrazić."" A ja napisałem tak (*W stronę logiki*, s. 350): „Bez rozstrzygania, czy wyczerpałem wszystkie przypadki literalizacji, pokuszę się o pewien slogan parafrazujący Wittgensteina: jeśli coś daje się zliteralizować, to daje się jasno wyrazić." To LW uważa, że trzeba „jasnej" (jego cudzysłów, a więc nie wiadomo, o co chodzi) definicji literalizacji, by uprawnić moją parafrazę Wittgensteina. I kto tutaj bałamuci?

Kolejny (meta)argumentacyjny zabieg Lecha Witkowskiego jest taki (LW2, s. 114). Powiada on, że uwagi o Platonie (niejednoznaczność jego języka) i Waismannie (brak definicji itd.) są w moim wydaniu krzykiem i wymachiwaniem potępieniami, w sytuacji, gdy sam przyznaję, ze definicji podać nie mogę. Zauważę jeszcze raz, że rzeczone uwagi dotyczyły konkretnych problemów a nie ogólnej dyskusji metafilozoficznej. Jeszcze raz: czy LW uważa, że Platon wypowiadał się w sprawie „trzeciego człowieka" jednoznacznie, a Waismann podał stosowne definicje czy wyjaśnienia? Z jego uwag wynika także osobliwa teza, że jeśli ktoś przyznaje, że nie potrafi podać definicji w jednej sprawie, to nie może domagać się tego w innej, że jeśli dopuszcza, że jego wypowiedzi są niejednoznaczne, to nie może zauważyć, że czyjeś sformułowania też są takie. Oczywiście składam rozmaite deklaracje (każdy filozof to czyni), ale zawsze staram się powiedzieć w jakiej sprawie i dlaczego. Lech Witkowski wykorzystuje to w kolejnej patologii inferencyjnej (LW2, s. 115): „Filozoficznie nie ma żadnej wartości filozoficznej, poza iluzoryczną autodefinicją: „Deklaruję akces do filozofii analitycznej, niechętnej wielkim konstrukcjom i ceniącej jasność". Stąd moja teza: **filozofia analityczna jest bytem deklaratywnym i domeną deklaracji.**" Nawet jeśli przyjąć „iluzoryczność autodefinicji", to wynikanie logiczne pomiędzy przesłanką a wnioskiem tego rozumowania jest tak mniej więcej obecne, jak element w zbiorze pustym. Wszelako Lech Witkowski z ostrożności dodaje: „Nie twierdzę, że tezę udowodniłem, wystarczy póki co, że ją „zademonstrowałem na przykładach" [to aluzja do mojego sposobu traktowania pojęcia literalizacji — JW],

z których każdy jest kontrprzykładem na pychę analityczną. Nie tylko Jana Woleńskiego. To mało?". Bardzo mało, niemal nic. Okiem gołym, nieuzbrojonym w jakąkolwiek pychę analityczną, a także bez krzyku i wymachiwania potępieniami, widać, że w jednym i drugim wypadku teza Lecha Witkowskiego (tj. zdanie wytłuszczone) wspiera się na zupełnie innych danych. W wypadku pierwszym, miedzy tezą a danymi nie ma żadnego związku logicznego (w jakąkolwiek stronę), a w drugim, trzeba najpierw podać, a potem zbadać dokładniej owe kontrprzykłady. To, co wyżej powiedziałem o metodach analitycznych LW wystarcza do stwierdzenia, że nie podał on żadnego kontrprzykładu w sposób należyty, ponieważ moje poglądy w sprawach metafilozoficznych zastępował swoimi ich imaginacjami, a w szczególności nie zbadał porządnie czy wyczerpująco ani jednego przykładu mojej parafrazy czy poglądu metafilozoficznego (dla ilustracji: wspomniany fragment Waissmana jest u mnie analizowany na kilku stronach), natomiast systematycznie łączył perswazyjne kwalifikacje z kawałkami argumentów rzeczowych. Żeby nie być gołosłownym: bezpośrednia polemika LW z JW1 i moimi poglądami metafilozoficznymi liczy 54 zdania, a z tego 35 ma ów hybrydowy charakter. Reszta to w większości zdania łączące lub cytaty z moich prac. Gdy usunie się rozmaite ewokacje, to zostaną jeno projekty ewentualnych kontrprzykładów. Jakby nie było, zbiór danych, który rzekomo wspiera tezę Lecha Witkowskiego jest faktycznie pusty, bo projekt ewentualnego kontrprzykładu jeszcze nim nie jest. W konsekwencji, uzasadnienie tezy Lecha Witkowskiego, tym razem indukcyjne (będzie miał LW uciechę: Jan Woleński wierzy w indukcję), też jest puste. Jest taki kawał wojskowy: „Ile żołnierz ma par butów i z czego? Dwie, z czego jedną w magazynie." Czas najwyższy, by Lech Witkowski wyciągnął z magazynu bardziej przekonywujące argumenty, bo te, które tak dumnie obnasza, zresztą w każdej poruszanych tutaj kwestii, są stanowczo za ciasne. I to o kilka numerów, co sprawia, że nawet nie dają się naciągać. Nie nalegam, by LW cenił filozofię analityczną i nie przeszkadza mi, gdy pisze (LW2, s. 109) „ja bowiem przyjmuję do wiadomości jedynie istnienie *tzw.* analityków", bo to jego zmartwienie czy radość, a nie mój kłopot. Nawiasem mówiąc, zacytowane zdanie, rozumiane literalnie (tak, tak) wyraża interesujący pogląd ontologiczny, taki mianowicie, że rzeczywistość składa się wyłącznie z tzw. analityków (kontekst tego wcale nie wyklucza). Niemniej jednak, jeśli już LW rozprawia o brakach w mojej robocie, mniejsza o to jak kwalifikowanej (w końcu to nie Lech Witkowski decyduje o granicach dyscyplin akademickich), to niech przynajmniej zdobędzie się na uwzględnienie tego, co twierdzi jego oponent. Tym m. in. różnię się od LW, że staram się to czynić. Lech Witkowski może oczywiście odpowiedzieć, że gra nie warta świeczki i szkoda czasu na zawracanie sobie głowy analitykiem. W porządku, ale wtedy nie ma co udawać, że świeczka została zapalona.

Wedle Lecha Witkowskiego, u filozofa analitycznego wszystko jest złe. Jeśli jeden taki (np. Carnap) krytykuje Heideggera za wyłączną produkcję nonsensów, to jest to oczywiście skandaliczna pycha analityczna. A jeśli powiada się (jak ja to czynię), że filozof ten powiadał nie tylko nonsensy, to wprawdzie jest to uprzejme i szlachetne, ale również złe, właśnie z uwagi na istnienie Carnapów. To tak jakby (proszę dal-

szych słów nie traktować jako aluzji do kogokolwiek) ktoś powiedział tak: „To szlachetnie, że pan nie bije żony, ale i tak pan zachowuje się niewłaściwie, bo niejeden prawdziwy macho systematycznie tłucze swoje kobiety." I tak źle, i tak niedobrze, a więc w ogóle niedobrze, w epigońskim obozie analitycznym ma się rozumieć. A jak jest u Lecha Witkowskiego? Znakomicie. Główne problemy komunikacji językowej mają swe rozwiązanie (LW2, ss. 112—114) w asekuracyjnym charakterze dyskursu (w filozofii i nie tylko), co znaczy, że trzeba zabezpieczyć się przed błędem i nieporozumieniem. Można definicyjnie, co jest „próbą swoistej asekuracji dyskretnej, tj. punktowej, czyli lokalnej, jak kto woli." (LW2, s. 113). Asekuracja jest zagrożona przez to, że „sensy bywają uwikłane w sploty bardziej holistyczne [...]" (LW2, s. 113). To jednak nic poważnego, bo „do głosu dochodzi swoista, jak pisał Bachelard, solidarność pojęciowa" (LW2, s. 113). Dzięki tej jawnej broni Lecha Witkowskiego możemy zrozumieć związek pomiędzy wzorem $F = ma$, czyli prawem siły, a formułą $a = F/m$ wyrażającą sens przyspieszenia. Oba są właśnie solidarne pojęciowo. Ważne jest wedle Witkowskiego, co następuje (LW2, s. 113): „Groźba błędnego koła definicyjnego jak wiadomo jest osłabiona w trybie tzw. koła hermeneutycznego, albo swoistej ontologicznej wizji rozumu, jako tej instancji, która się sama tworzy, śledząc własne perypetie tego tworzenia i jego porażek." A wcześniej dowiadujemy się: „Nie darmo wcześniej marzyły się nam w wiedzy naukowej „pewniki". Potem przyszła świetlana wizja aksjomatyzacji, dopóki się nie okazało, że aksjomatyki odpowiednio bogate mają nieskończoną klasę modeli nieizomorficznych. Te perypetie z poszukiwaniem absolutnej pewności w sferze znaczeń — łącznie z ograniczeniami strategii formalizacyjnych pozwalają wypowiedzieć pierwszą tezę: asekuracja pełna czy zupełna w filozofii dyskursu nie jest możliwa." (LW2, s. 113). To wszystko (zwłaszcza przymiotnik „swoista"; swoista jest i asekuracja i solidarność) jest jasne jak słońce i proste jak parasol, wedle starego porzekadła.

Żeby jednak nie poprzestać na wymachiwaniu jasnością i prostotą, dodam, co następuje. Nie lubię zdań *de se* w polemikach, ale doprawdy wstyd mi, że tytularny profesor filozofii powiada, że tzw. koło hermeneutyczne ma cokolwiek wspólnego z błędnym kołem w definiowaniu. „Jak wiadomo" odnosi się do rozumienia i to nie w żadnym trybie, co zgodnie podkreślali wszyscy hermeneutycy od Schleiermachera do Gadamera. Z polemiki z moją metafilozofią można wysnuć wniosek, że Lech Witkowski domaga się, by wszystko było definiowane i dowodzone. W tym przypadku, błędne koło jest rzeczywiście nieuniknione, i nie pomoże tutaj ani koło hermeneutyczna ani owa ontologiczna wizja rozumu pasującego się sam ze sobą. Przypuszczam, że LW bardzo chciałby, aby analitycy przyjęli absurdalne założenie, że wszystko trzeba zdefiniować i udowodnić. A tymczasem oni złośliwie dla LW utrzymują, że nie wszystko podlega definiowaniu, a pewne pojęcia są traktowane jako pierwotne. I tutaj pojawia się problem rozumienia i być może koła hermeneutycznego, ale to nie miejsce, by sprawę tę rozważać. Newton uznał „prawo siły" (czyli II zasadę dynamiki), a nie formułę wyrażającą sens przyspieszenia za aksjomat swej mechaniki, co znaczy, że uważał masę i przyspieszenie za pojęcia bardziej podstawowe niż siłę.

Status II zasady dynamiki jest, jak znowu wiadomo, przedmiotem ostrych kontrowersji (czy II zasada jest definicją czy twierdzeniem rzeczowym?) i kwitowanie tego solidarnością pojęciową z wzorem na przyspieszenie jest zgoła niepoważne. Owa swoista solidarność prowadzi przy tym do groteskowych rezultatów. Weźmy np. wzór na energię kinetyczną $E = mv^2/2$. Czy mamy powiedzieć, że formuła $1/2 = E/mv^2$ wyraża sens ułamka $1/2$? Niech Lech Witkowski rozważy to pytanie, a przy okazji zastanowi się nad tym, co tak kategorycznie proklamuje jako panaceum na tajniki wszelkiego dyskursu. Nic nie pomaga tutaj odwoływanie się do metamatematyki, tym bardziej, że LW nie grzeszy nadmierną znajomością faktów, które przywołuje. Nieskończone klasy nieizomorficznych modeli nie zależą od „odpowiedniego bogactwa aksjomatyki" (s. 113), ale od rzędu języka, w którym sformułowana jest dana teoria. I tak, każda teoria pierwszego rzędu ma (twierdzenie Löwenheima-Skolema) nieskończenie wiele modeli nieizomorficznych. Arytmetyka Peano I rzędu nie jest kategoryczna, ale II rzędu jest — obie są przy tym „odpowiednio bogate". Być może LW ma na myśli, że odpowiednio bogate (tj. zawierające arytmetykę) teorie są niezupełne, bo to też prowadzi do nieskończonej wielości wzajemnie różnych modeli. Jakby nie było, tzw. twierdzenia limitacyjne, jeśli cokolwiek sugerują filozofowi, to nie tyle w sprawie asekuracji w filozofii dyskursu, ile w odniesieniu do samego dyskursu. Pomijając tę kwestię, odnotowuję z satysfakcją, że Lech Witkowski użył argumentu polegającego na wykorzystaniu wyników metamatematycznych w filozofii. Wygląda na to, że LW, przynajmniej niekiedy, wstępuje do tabunu logików, stojących niżej od „jednego i jedynego Heideggera". Gorzej, iż nie czyni tego zbyt udolnie, a przede wszystkim nie śledzi perypetii własnego rozumu w tych zapasach.

W zakończeniu swej polemiki Lech Witkowski informuje następująco (LW2, s. 115): „Ostatnio ukazała się kapitalna, wręcz przełomowa dla humanistyki książka Lakoffa i Johnsona, gdzie się okazuje, że cnota upominania się o ścisłość semantyczną u analityków w filozofii jest oparta na błędnej teorii znaczeń i na wizji [co to za czort? — JW] Fregego, której poważny humanistycznie i poza rozmaitymi logicyzmami kognitywizm wcale nie musi uznawać. [...] książka ta jest rewelacją dla całej humanistyki i będzie pewnie naszą „biblią" przez lata. Ten niewygodny dla logików z „obozu" Jana Woleńskiego fakt podaję jako sugestię, że ten ostatni musi już pisać kolejną polemikę. A może tak, drogi Janie, zabrać się za robienie tylko tego, co się chce umieć robić, czyli za swoje, a nie za cudze?" Owa książka to *Philosophy in the Flesh. The Embodied Mind and Its Challenge to Western Thought* (New York 1999). Nie znam tego dzieła. Ze spisu treści, który otrzymałem od T. Komendzińskiego z Torunia (przy okazji dziękuję mu za informację, że LW miał na myśli ten właśnie utwór), mogę wnioskować, że jest to rozwinięcie myśli zawartych w książce *Metafory w naszym życiu* tychże autorów. Ta zaś ukazała się dwadzieścia lat temu (1980) w wydaniu angielskim, a u nas osiem lat później, również spory czas temu i jak na razie nie okazała się przełomowa ani u nas ani w reszcie świata. Nie wykluczam, że nowa spełni tę rolę, być może z pomocą Lecha Witkowskiego. Póki co, chcę zauważyć, że w książce *Metafory w naszym życiu* (przypuszczam, że tak samo jest w *Philo-*

sophy in the Flesh) znajdują się tezy niezbyt po myśli LW. Oto np. na s. 114—115 autorzy formułują postulaty tzw. jednostronnego sporu racjonalnego (takim jest np. polemika), np. wymaganie jasności i wymaganie struktury (tj. zachowywania związków logicznych), których to warunków Lech Witkowski notorycznie nie przestrzega. Może się jednak czegoś się w końcu nauczy, skoro traktuje Lakoffa i Johnsona jako swoje autorytety. Ale nie dziwię się Lechowi Witkowskiemu, że uważa rzecz ich poglądy za rewelację dla siebie. Autorzy deklarują bowiem sprzeciw wobec koncepcji prawdy absolutnej czy obiektywnej. To musi podobać się LW, gdyż legitymuje wszelkie jego produkcje. Podoba mu się też atak na Fregego obiektywną teorię znaczeń (to jest pewnie ta jego, tj. Fregego, wizja). LW nie raczył zauważyć jednak, że jest to również przeciw Husserlowi, co Lakoff i Johnson wyraźnie stwierdzają na s. 224, Ingardenowi i Elzenbergowi, bo ten ostatni też był obiektwywistą, przynajmniej w sferze wartości, a to zwykle idzie w parze z obiektywizmem w semantyce. Powstaje pytanie, bardzo zresztą ciekawe, jak Lech Witkowski zamierza kontynuować poważną teorię kultury w stylu Ingardena i/lub Elzenberga, tj. obiektywizmu i zarazem Lakoffa i Johnsona, typowych relatywistów. LW swoim zwyczajem uważa od razu, że Lakoff i Johnson okazali, iż teoria ta jest błędna, aczkolwiek każdy jako tako zorientowany we współczesnej semantyce wie, że jest to rzecz wielce dyskusyjna. Swoją drogą, zdanie „cnota upominania się o ścisłość semantyczną u analityków w filozofii jest oparta na błędnej teorii znaczeń i na wizji Fregego" jest semantycznie urokliwe. Jego dosłowne znaczenie wyraża postulat ścisłości semantycznej adresowany do analityków, a oparty na wizji Fregego i błędnej teorii znaczeń. Znowu ryzykując dopuszczenie się nadużycia, powiem, że w ten amfibologiczny sposób LW chciał stwierdzić, że postulat analityków w sprawie ścisłości semantycznej (czyli cnoty upominania się o nią, ale dlaczego o cnocie mówi się tutaj bez cudzysłowu, skoro cnota, zgodnie chyba z Ingardenen i Elzenbergiem, nie może opierać się na błędnej teorii) jest oparty na obiektywistycznej teorii znaczeń. Na wszelki jednak wypadek informuję, że postulat ścisłości semantycznej wcale nie wymaga założenia obiektywistycznej teorii znaczeń (por. np. uwagi Brentana i Twardowskiego na ten temat). Ten fakt jest na pewno niewygodny dla Lecha Witkowskiego. On zaś utrzymuje, że znalazł coś niewygodnego dla mojego obozu. Nie jest jednak jasne co. Z kolejności zdań wynika, że ów fakt niewygodny dla logików z „obozu" Jana Woleńskiego polega na tym, że nowa książka Lakoffa i Johnsona jest rewelacją i stanie się „naszą" (tj. LW i jakiejś bliżej nieokreślonej populacji) „biblią". Fakt ten jest też podany jako sugestia dla napisania przeze mnie kolejnej polemiki. Otóż mój obóz nie jest zainteresowany biblistyką Lecha Witkowskiego, a to, co uważa on za swoje Pismo Święte, nie jest to dla nas wygodne czy niewygodne, ale całkowicie obojętne. Istotnie, mógłbym zauważyć coś polemicznego na temat Lakoffa i Johnsona (dokładniej: w związku z ich książką z 1980 r.), np. to, że ich rekonstrukcja definicji prawdy Tarskiego (s. 211) w postaci formuły '„S" jest prawdziwe wtedy i tylko wtedy, gdy *p* (gdzie *p* jest oznajmieniem w jakimś uniwersalnym języku logicznym)', jest błędna w części znajdującej się po „gdy" i to od początku do końca. Niemniej jednak,

skreśliłem niniejszą polemikę nie wedle rzeczonej sugestii LW, ale z powodu treści jego wystąpienia. Pozostaje jeszcze końcowe pytanie. Przeczytało je sporo osób i stwierdziło, że jest wprawdzie syntaktycznie spójne, ale znaczeniowo nieprzenikliwe. Nie nasuwa mi się żaden pomysł zrozumienia wezwania do robienia tego tylko, co chce się umieć robić. Natomiast mój klucz interpretacyjny (patrz tytuł) podpowiada mi, w związku z dialektyką „swojego" i „cudzego", że Lech Witkowski w swym rzecznikowym trudzie przygotowuje, na wypadek kolejnej mojej polemiki z nim (tj. niniejszej właśnie), zarzut usiłowania zaboru czyjejś własności („zabranie się za cudze" w trybie pytajnym). Czekam cierpliwie na szczegóły.

Śledząc od kilku lat niektóre produkcje pisarskie Lecha Witkowskiego sądziłem, że to właśnie logików i filozofów analitycznych uznał za właściwy przedmiot swych filozoficznych podchodów. Zwrócono mi jednak uwagę na zdanie następujące: „Jakiś — na przykład, bo warto ich „szczypać" — psycholog, socjolog czy logik bądź podobny „rzemieślnik" akademicki, bywa bardziej śmieszny ni z groźny. Chyba że spojrzy się na niego jako na osobę mającą nieproporcjonalnie dobre samopoczucie harcownika na polu oddziaływań wychowawczych czy — szerzej — perswazji w kulturze." (L. Witkowski, *Edukacja i humanistyka. Nowe konteksty humanistyczne dla nowoczesnych nauczycieli*, Instytut Badań Edukacyjnych, Warszawa 2000, s. 9, Wstęp). Szkodników jest więc znacznie więcej. Z całego „Wstępu" do cytowanej książki (a także z polemik ze mną) wyłania się autodeskrypcja samotnego bojownika o jakość polskiej (a może i światowej) humanistyki zagrożonej przez owych „bardziej śmiesznych niż groźnych rzemieślników akademickich". Możemy przy tym zasadnie przypuszczać, że Lech Witkowski we własnym mniemaniu do nich nie należy.

Nie mnie rozstrzygać, kto jest śmieszny, a kto nie. Dla wyrobienie sobie opinii przez postronnych obserwatorów, proponuję wzięcie pod uwagę takiej oto wypowiedzi LW o samym sobie: „[...] znam swoją wartość. W grudniu [1999 — J. W.] „strzeliłem" po włosku i z głowy w Mediolanie godzinny wykład z filozofii i pedagogiki do pięciuset studentów i po dalszej godzinie dostałem takie brawa, że odczułem to jako katharsis." (*Głos Uczelni. Pismo UMK* IX (2000), s. 12). Jest to fragment wywiadu jakiego LW udzielił gazecie wydawanej przez Uniwersytet Mikołaja Kopernika. W zacytowanych słowach na uwagę zasługuje osobliwie użycie słowa „katharsis". Cóż, każdy oczyszcza się jak może czy też potrafi. Lech Witkowski w swych polemikach sporo uwagi poświęcił diagnozowaniu osobowości filozofów analitycznych i przedstawicieli innych dyscyplin akademickich. Niech i ja spróbuję dociec, co też kryje się za agresją LW wobec kolegów po fachu. Fragment o katharsis sugeruje, czego Lechowi Witkowskiemu potrzeba dla dobrego samopoczucia. Otóż, potrzeba mu owacji ze strony audytorium. Pozostawiając studenckie uniesienia na boku, wypada zauważyć, że polskie środowisko filozoficzne (o innych już nie wspominam) jakoś nie kwapi się z wyrazami nadmiernego entuzjazmem dla produktów myśli LW. On sam uważa to zapewne za celowy spisek, a ja (i wielu innych) za przejaw dobrego rozeznania w tym, co kto robi i co jest to warte. Znane prawo psychologii społecznej głosi: frustracja rodzi agresję. I tak chyba trzeba wyjaśniać treść i charakter pole-

micznych dokonań Lecha Witkowskiego. Zaznaczam, że jest to jedynie hipoteza empiryczna, a więc mogłem się pomylić.

PS. Tekst niniejszy został sporządzony z intencją ogłoszenia go w *Ruchu Filozoficznym*. Redakcja odmówiła uznając, że kontynuowanie polemiki mija się z celem. Niemniej jednak, zgodzono się na opublikowanie krótkiego listu. Wiadomo mi również, że prof. U. Żegleń przesłała do *Ruchu Filozoficznego* wyjaśnienie w sprawie konferencji o Putnamie [por. *Ruch Filozoficzny* LVIII, nr 2, 2001, ss. 403—407].